

MACIEJ SŁOMCZYŃSKI

Joe Alex



Gdzie jest *Trzeci Król?*



BUKOWY LAS

PROJEKT OKŁADKI: Natalia Twardy
REDAKCJA: Daria Demidowicz-Domanasiewicz
KOREKTA: Agnieszka Madyńska
REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

Copyright © by The Estate of Maciej Słomczyński
Copyright © for this edition by Dressler Dublin Sp. z o.o., 2025

PRODUCENT:
Dressler Dublin Sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
e-mail: sekretariat@dressler.com.pl

DANE DO KONTAKTU:
Wydawnictwo Bukowy Las
ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław
e-mail: redakcja@bukowylas.pl; bukowylas.pl

ISBN 978-83-8074-825-5
Nr 21000265/D0

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:
Dressler Dublin Sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
dressler.com.pl



KSIĘGARNIE INTERNETOWE:
swiatksiazki.pl, ksiazki.pl, czytam.pl

DRUK I OPRAWA: Białostockie Zakłady Graficzne S.A., Białystok
PAPIER: Ecco Book Cream 60 g 2.0

ROZDZIAŁ 1

„Muszę go kupić od pana...”

Pan Gomez miał za sobą bardzo pracowicie spędzony dzień i usnął niemal natychmiast po starcie samolotu. Kiedy otworzył oczy, był świt. Odsunął białą firaneczkę zasłaniającą okno. Wyrżał. W dole, po granice widnokręgu, rozpościerała się niezmierzona, ciemnoniebieska równina. Pan Gomez ponownie oparł głowę na miękkiej poduszce fotela i spojrzał na zegarek. Jeszcze godzina. Za kilkanaście minut Atlantyk ucieknie spod skrzydeł maszyny i wejdzie pod nie stara, szara Europa.

Stewardesa podeszła niemal tanecznym krokiem i balansując zgrabnie, pochyliła się nad nim z tacą.

Kawę czy herbatę? Pan Gomez wołał kawę, jeśli nie robiło to różnicy. Najmniejszej. Z dużej tacy zdjęła małą tackę. Bułeczki, dżem, masło? Czy coś jeszcze? Nie, pan Gomez sądził, że to wystarczy. Trzymając tackę w obu rękach, uniósł głowę i podziękował z uśmiechem. Miał oliwkową ciemną cerę i czarne, gładko zaczesane do tyłu włosy, lekko siwiejące na skroniach. Stewardesa była

wysoką szczupłą blondynką o jasnoniebieskich oczach i różowej cerze. Pan Gomez odczuwał naturalną skłonność do wysokich, szczupłych, jasnych dziewcząt. Może dlatego poprosił jeszcze o kieliszek koniaku.

– Koniak rozjaśnia myśli, prawda?

– Zapewne, proszę pana. Za chwileczkę przyniosę.

Uśmiechnęła się i odeszła do następnego rzędu foteli, gdzie budzili się już inni pasażerowie.

Pan Gomez wypił kawę, zjadł dwie bułeczki posmarowane cienko masłem i grubo dżemem, wypił na koniec kieliszek koniaku i przymknął oczy. Nie uśmiechał się już. Myślał o bardzo ważnej i pilnej sprawie, która kazała mu pośpiesznie spakować neseser i przelecieć Atlantyk, aby znaleźć się w możliwie najkrótszym czasie w Stuttgarcie.

Najprawdopodobniej wypił jednak o jedną filiżankę kawy za mało, bo usnął po raz drugi, a kiedy się obudził, samolot podchodził do lądowania w Paryżu. Pan Gomez siedział przez chwilę z przymkniętymi oczyma, nie mogąc sobie przypomnieć, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje. Później przypomniał sobie i westchnął. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi na swoją depeszę. Nie oczekiwał jej zresztą. Jeśli pana Grubera nie było w Stuttgarcie, był zdecydowany lecieć za nim choćby na koniec świata.

Olbrzymi boeing kołował powoli do oszklonego płaskiego budynku dworca lotniczego. Pan Gomez wysiadł, powiedziawszy kilka miłych słów stewardesie, która stała wyprostowana przy schodkach, żegnając

niedawnych podróżnych promiennymi oczyma i mi-
lutkimi skinieniami krótko ostrzyżonej jasnej głowy.
Podał paszport uprzejmemu urzędnikowi. Ten po-
informował go, że caravelle do Stuttgartu stoi już na
pase startowym i odleci za piętnaście minut. Nie, pan
Gomez nie musi załatwiać żadnych dodatkowych for-
malności, znajduje się przecież we Francji tranzytem.
Tak, to ten samolot z błękitnym pasem.

Pan Gomez nie czuł się już senny. Na szczęście
w Europie było ciepło. Nad Paryżem stał bezchmurny
piękny poranek, a w drodze do Stuttgartu także nie
spotkali ani jednej chmurki, jeśli nie liczyć malutkich
białych obłoczków spacerujących bardzo wysoko. Pan
Gomez wypił w samolocie jeszcze dwie kawy i oto był
już nad Stuttgartem.

Po załatwieniu formalności paszportowych wyszedł
przed dworzec i niecierpliwym ruchem ręki przywołał
taksówkę. Wyjął notes i odczytał adres głośno, sylabizu-
jąc tam, gdzie nie był pewien swej niemieckiej wymo-
wy. Kierowca przytaknął ruchem głowy.

– Prędko! – powiedział pan Gomez. – Tak prędko,
jak pozwalają przepisy! Zapłacę panu dwa razy tyle.

– Postaram się, proszę pana.

Taksówka pomknęła prostą asfaltową aleją w kie-
runku miasta. Po dziesięciu minutach znaleźli się na
szerokiej przedmiejskiej ulicy wysadzanej starymi wią-
zami, spoza których wybłyskiwały białe ściany pałacy-
ków ukrytych w głębokich ogrodach. Kierowca zwolnił
niedo.

– To będzie tu, proszę pana. – Zahamował gwałtownie i zjechał do krawężnika. – Tak, tu.

Pan Gomez szybko sięgnął do kieszeni, wyciągnął kilka banknotów, zawahał się na ułamek sekundy, zerknął na licznik i podał kierowcy pięciodolarówkę.

– Dziękuję panu b a r d z o! – Zanim pan Gomez zdążył pchnąć drzwiczki, kierowca stał już przed nimi i otwierał je z ukłonem. – Czy zaczekać na pana?

– Nie, nie! – Pan Gomez chwycił swój neseser i wyskoczył z auta, ale natychmiast się opanował. Teraz pośpiech nie był już konieczny. Jeśli pan Gruber był w domu, nie uleci przecież powietrzem. – Nie trzeba... – dodał spokojniej i skinął kierowcy ręką w szarej rękawiczce.

Ruszył ku furcie o złożonych grotach żelaznych sztachet. Chciał nacisnąć dzwonek, ale cofnął rękę i opuścił ją na misternie kutą klamkę. Furtka ustąpiła. Pan Gomez uniósł brwi, jak gdyby ten prosty fakt nie wydał mu się aż tak prosty. Wszedł i zamknąwszy furtkę, ruszył prostą, wysypaną żwirem ścieżką ku domowi, który był bardzo nowoczesny, śliczny, olśniewająco biały i stał pośród zupełnie oszałamiających krzewów, pokrytych kwiatami, jakich istnienia pan Gomez nawet nie podejrzewał w chłodnym bądź co bądź klimacie środkowej Europy u schyłku lata.

Zbliżył się ku domowi, ale zanim znalazł się przed drzwiami wejściowymi, otworzyły się one cicho. Na progu stała młoda pokojówka, wyprostowana, w czerni i w bieli, nienaganna, jasnowłosa i szczupła. Pan Gomez

mimowolnie uśmiechnął się. Była bardzo podobna do stewardesy, którą pożegnał przed dwiema godzinami.

– Czy zastałem pana Grubera?

– Zaraz sprawdzę, proszę pana. Czy wolno zapytać, kogo mam zaanonsować?

Pan Gomez położył wizytówkę na maleńkiej tacy, którą uniosła ku niemu. Pokojówka cofnęła się, skłoniwszy głowę. Wszedł do domu. Zamknęła za nim drzwi i znalazł się w chłodnym, przyjemnym półmroku.

– Może pan będzie łaskaw spocząć na chwilę? – Wskazała nieznacznym ruchem ręki stojące w hallu wysokie proste krzesła i odeszła. Zniknęła za oszklonymi drzwiami, spoza których nie doszedł go żaden dźwięk.

Pan Gomez nie usiadł. Trzymając nadal w ręce swój neser i kołyszając nim łagodnie, podszedł do kominka. Oczy, przywykłe już do przyćmionego światła, spoczęły na flamandzkiej martwej naturze w prostych złotych ramach: puchar i butelka o dziwnym, prawie groteskowym kształcie, stojące na złocistym talerzu; za nimi draperia i narożnik okna, z którego spływał bogaty, barokowy blask, rozjaśniając puchar i zapalając iskry w głębi butelki.

Pan Gomez z uznaniem skinął głową. Chociaż interesowały go dzieła sztuki powstałe na przestrzeni całej historii ludzkości, miał jednak swoje małe upodobania, z których nie zwierzał się nikomu. Był przekonany, że ludzie przed trzystu laty malowali lepiej niż kiedykolwiek przedtem i później. Cmoknął głośno z wyraźną

satysfakcją. Arcydzieło. Ten obraz był jeszcze jednym dowodem na poparcie jego poglądów. Był naprawdę znakomity. Ale kto go namalował? To było zdumiewające, że pan Gomez nie widział nigdy nawet jego reprodukcji. Oczywiście pan Gruber mógł...

Ale nie dokończył nigdy tej myśli

– Witam pana! Dawno już nie widzieliśmy się, prawda?

Odwrócił się, czując wielką, zupełną ulgę. A więc pan Gruber był w Stuttgarcie. Nie wyjechał. Było to niemal tak, jak gdyby dokonał już połowy zamierzonego zadania.

– Dzień dobry, Herr Gruber! Bardzo się cieszę! Naprawdę bardzo się cieszę, że pana widzę!

Podali sobie ręce. Gospodarz był człowiekiem wysokim, nieco otyłym; najprawdopodobniej zbliżał się do sześćdziesiątki, jeśli już jej nie przekroczył. Ale na pierwszy rzut oka trudno było określić jego wiek. Poruszał się jak młody człowiek, lecz zmarszczki wokół oczu i skóra na dłoniach...

– Otrzymałem wczoraj pańską depeszę – powiedział – i niewiele mogłem z niej wywnioskować. Może to tylko, że zależy panu na rychłym spotkaniu ze mną. Wiem, że nie należy pan do ludzi, którzy zajmują czas bliźnich drobiazgami. Ale nie mówmy o tym teraz. Na pewno jest pan głodny. Chce pan chyba zjeść śniadanie i wykąpać się? Zaraz wydam dyspozycje.

– Mam zarezerwowane miejsce w hotelu – powiedział szybko pan Gomez. – Nie chciałbym panu

zajmować zbyt wiele czasu moją osobą. Zresztą, szczerze mówiąc, sam mam go niezbyt wiele. Interesy... – Uśmiechnął się przepraszająco. – Ułożyłem sobie wszystko tak, żeby znaleźć się na powrót w Rio po czterdziestu ośmiu godzinach od chwili opuszczenia miasta. Rozumie mnie pan chyba?

Gospodarz rozłożył ręce.

– Oczywiście, oczywiście! W takim razie jestem do pańskiej dyspozycji. Proszę bardzo...

Otworzył małe drzwi wykładane ciemną dębową boazerią i przepuścił gościa przed sobą. Pokój, w którym się znaleźli, był olbrzymi, jasny i wypełniony zapachem kwiatów. Przez podwójne otwarte drzwi tarasu wpadało poranne słońce i ciepłe, rozedrgane powietrze.

– To mój gabinet, jeżeli mam prawo do tego rodzaju określeń. Spędzam bardzo niewiele czasu przy biurku. Niech pan siada. – Wskazał gościowi jeden z dwu przepastnych foteli klubowych stojących naprzeciw siebie po obu stronach niskiego stolika. – Czego się pan napije?

Pan Gomez usiadł i postawił neseserek obok stolika.

– Jeśli nie zrobi to panu różnicy, może po prostu koniak? Koniak w niewielkich ilościach rozjaśnia myśli...

Uśmiechnął się nieznacznie. Mignęła mu jasna buzia stewardesy z boeinga. Ale natychmiast spowaźniał. Rozmowa, która go czekała, wymagała największego skupienia przy pozorach swobodnej wymiany myśli. Najdrobniejsza niewłaściwa nutka w głosie mogła kosztować tysiące dolarów.

Pan Gruber otworzył drzwiczki niewielkiej szafki ściennej i wyjął jedną spośród zalegających ją licznie butelek. Gomez milczał, czekając, póki gospodarz nie postawił na stoliku dwu kieliszków i nie wlał do nich po odrobinie złocistego płynu. Pan Gruber ostrożnie postawił butelkę i usiadł.

– Dekoracje gotowe – powiedział, uśmiechając się dobroduszenie – aktorzy również. Możemy podnieść kurtynę. Słucham pana.

Pan Gomez uniósł kieliszek, dotknął wargami jego krawędzi i odstawił go.

– Naprawdę obawiałem się, że nie zastanę pana w Niemczech. Sprawa, która mnie tu dzisiaj przywiodła, jest dość... hm... niecodzienna i przyznaję szczerze, że zależy mi na szybkim załatwieniu jej. Chodzi o pośpiech, rozumie pan?

– Ba! Pośpiech! – Pan Gruber rozłożył ręce. – Prawie wszyscy moi klienci mają dość niecodzienne problemy do rozwiązania i prawie każdemu z nich zależy na pośpiechu...

– I na dyskrecji... – dodał pan Gomez.

– O tym nawet nie wspominam, bo na dyskrecji zawsze zależy obu stronom. Dyskrecja, jeżeli wolno mi zauważyć, jest podstawowym założeniem mojego zawodu. Wolę mówić o pośpiechu, skoro użył pan już tego słowa. Moi klienci zawsze się śpieszą i w związku z tym ja także muszę żyć w nieustannym pośpiechu, żeby wywiązać się z przyjętych zamówień. Jutro, na przykład, mam odlecieć do Londynu dla załatwienia

pewnej bardzo delikatnej sprawy. Jest to bardzo obiecująca transakcja i leży ona w sferze moich zainteresowań i możliwości mojego zespołu.

– Jutro? – Pan Gomez zmarszczył brwi. – Chce pan naprawdę odlecieć jutro do Londynu?

– Czy chcę! W moim wieku podróże nie należą już do przyjemności. Nawet najwygodniejsze podróże. Oczywiście, że odlecę, o ile nie nadarzy się jakaś większa transakcja, która każe mi pozostać.

Zawiesił głos i sięgnął po kieliszek.

– Otóż to. – Pan Gomez odetchnął. – Jakaś większa transakcja...

Wstał i zbliżył się do otwartych drzwi tarasu.

– Słucham pana... – Pan Gruber dotknął warg końcem języka. Najwyraźniej lubił koniak.

Gomez wyciągnął rękę.

– Co za wspianiała roślinność! Jaki zestaw barw! Ma pan doskonałego ogrodnika. Prawdziwy malarz natury! – Odwrócił się i spojrzał na gospodarza. – Sądzę, że nie pojedzie pan jutro do Londynu, Herr Gruber.

– Być może... – W głosie mówiącego był uprzejmy brak zainteresowania.

Gomez zawrócił i usiadł. Pochylił się nad stolikiem.

– Miałem już z panem do czynienia dwukrotnie i muszę przyznać, że wywiązywał się pan zawsze z przyjętych na siebie zobowiązań ze skrupulatnością i rzetelnością, które są dobrze znanymi zaletami pańskiego narodu...

– Szkoda, że nie słuchają pana w tej chwili przedstawicieli Interpolu. – Pan Gruber uśmiechnął się. – Mam

wrażenie, że policja międzynarodowa wiele by dała za możliwość usłyszenia miarodajnej i wyczerpującej opinii o mnie z ust któregośkolwiek z moich klientów.

– Jak to? Interesują się panem? – Pan Gomez wydawał się zaskoczony.

– Oczywiście, że interesują się mną! Czy chciałby pan, żeby policja była zupełnie tępą? Któż strzegłby wówczas naszych domostw i naszego życia? Jestem wielkim zwolennikiem dobrej policji, señor Gomez.

– Hm... – mruknął pan Gomez.

– Oczywiście... – dokończył gospodarz – lubię dobrą policję, ale nie za dobrą. Interesują się mną od lat i będą prawdopodobnie interesowali się moją skromną osobą aż do dnia mojej śmierci. Ale obawiam się, że nie będę w stanie dostarczyć im żadnych miłych przeżyć. Po prostu nie mają i nie będą mieli nigdy żadnych podstaw do wszczęcia przeciw mnie śledztwa.

– Dlaczego jest pan tego taki pewien?

– Ponieważ nigdy w życiu nie popełniłem żadnego przestępstwa. Jestem dostatecznie inteligentny i bogaty, aby zawsze mieć pod ręką doskonale przeszkolonych ochotników, którzy mnie w tym wyręczają.

– Hm... – powtórzył pan Gomez. – Rozumiem. Przejdźmy do celu mojej wizyty. Sprawa, którą chcę panu powierzyć, jest bardzo skomplikowana i trudna.

– Nie ma trudnych spraw. Są tylko skąpi klienci. Małe nakłady finansowe utrudniają pracę, duże – ułatwiają, bardzo duże – mogą zdziałać cuda. Słucham pana?

Nie odpowiadając, pan Gomez sięgnął do swego neseserka, otworzył go, wsunął dłoń pomiędzy dwie białe, równiuteńko ułożone koszule i wyciągnął spomiędzy nich wielką kopertę. Bez słowa podał ją gospodarzowi.

Pan Gruber ostrożnie zajrzał do jej wnętrza. Później wyjął z koperty trzy duże fotografie. Przyjrzał się im kolejno i położył je na stoliku. Były to zdjęcia obrazów. Obrazy były podobne, pochodziły najprawdopodobniej spod pędzla tego samego mistrza i przedstawiały trzy ozdobione barokowymi koronami głowy ludzkie.

– Czy nic panu nie mówią te fotografie? – zapytał pan Gomez po chwili milczenia.

Dopiero teraz pan Gruber sięgnął po okulary, włożył je i pochylił się nad stolikiem.

– To chyba Ribera, prawda?

– Tak. Czy wie pan o nich coś jeszcze?

Gospodarz wyprostował się i potrząsnął przecząco głową.

– Niewiele, poza tym, że wyglądają jak trzy powiększone fragmenty jakiegoś jednego większego obrazu. Nie jestem pewien, ale chyba nie figurują w spisie żadnego z większych muzeów. W każdym razie wiem z całą pewnością, że nigdy ich nie widziałem. Zapamiętałbym je, jeżeli nie wszystkie, to na pewno choćby jeden.

– To nie są fragmenty jednego obrazu. – Pan Gomez wziął do ręki fotografie, a później ułożył je półkolistie na stoliku. – Są to trzy odrębne obrazy, ale namalowane dla jednego człowieka i przeznaczone do ozdobienia jednego miejsca. Ribera pracował wówczas dla

wicekróla Neapolu. Obrazy miały zawisnąć w kaplicy domowej panującego. Zamówienie dotyczyło wykonania Pokłonu Trzech Króli. Nie wiem oczywiście, czy pomysł wyszedł od wicekróla, czy też sam Ribera doszedł do wniosku, że może dokonać bardzo oryginalnego eksperymentu formalnego, nie naruszając ani religijnej treści zamówienia, ani zasad kompozycji dzieła. Najprawdopodobniej obrazy zawisły obok siebie na jednej ścianie. Jak pan zauważa, na każdym z nich wyobrażony jest tylko jeden król, ale wszyscy trzej spoglądają w górę, ku niewidocznemu dla widza Dzieciątku. Wisząc obok siebie w kaplicy, obrazy tworzyły panoramiczną całość, a Nowonarodzony Chrystus stanowił wartość mistyczną, widomą tylko oczom rozmodlonej duszy. Tak przynajmniej, jak sądzę, można interpretować z dużym prawdopodobieństwem koncepcję dzieła. Wszystkie trzy obrazy mają zresztą cały szereg symboli, umieszczonych prawdopodobnie z rozkazu wicekróla, o którym wiemy, że był osobą bardzo nabożną. Niech pan przyjrzy się dokładnie gronostajowym kołnierzom szat królewskich; pocętkowane są: tu – liniami, u tego króla dzwoneczkami, a u trzeciego – maleńkimi barankami. Na pierwszy rzut oka są to tylko gronostaje... Niemal jak gotyckie miniatury, prawda? Nie posądziłby pan Ribery o coś podobnego! Przyznaję, że mnie samego to zaskoczyło. Dwa z nich widziałem. Są miękkie, o spokojnych, przełamanych barwach, nic z owych brutalnych kontrastów Ribery, tych sławnych brył blasku w ciemności. Cudowne, mądre, dojrzałe malarstwo,

bardziej włoskie niż hiszpańskie. Velásquez, który był wówczas w Neapolu, ukląkł podobno w kaplicy na widok tych Trzech Króli i powiedział: „Po raz pierwszy w życiu żałuję, że nie jestem monarchą. Za taki portret dałbym się nawet ukoronować!”. No, ale to wszystko działo się trzysta lat temu...

Urwał.

– Tak. – Pan Gruber pokiwał głową. – Trzysta lat to kawał czasu. Co się z nimi dzieje obecnie? – Długim wypiętym palcem dotknął jednej z fotografii.

– Wszystkie przetrwały. Dwa z nich... – pan Gomez szybko wysunął ciemną dłoń, zebrał oba skrajne zdjęcia i wsunął je do kieszeni – znalazły się w posiadaniu pewnego bardzo bogatego kolekcjonera w Ameryce Południowej.

Pan Gruber uśmiechnął się.

– Rozumiem – powiedział. – Człowiek ten, posiadając dwa takie obrazy, musi być chyba prawie opętany pragnieniem posiadania trzeciego. Najwidoczniej sprawa uzyskania tego trzeciego obrazu natrafia na nieprzewyżnione trudności i to jest powód, dla którego spotkał mnie zaszczyt dzisiejszej rozmowy z panem, czy tak?

Pan Gomez mrugnął porozumiewawczo i uśmiechnął się lekko.

– Człowiek ten bardzo pragnąłby posiadać również i trzeci obraz. Zaprosił mnie. W czasie rozmowy dał mi do zrozumienia, że jest gotów ponieść wielkie wydatki, żeby tylko zaspokoić swoją tęsknotę.

Pan Gruber rozłożył ręce.

– Bardzo chwalebna pasja: kolekcjonowanie dzieł sztuki.

I on zamilkł. Czekał. Ale pan Gomez czekał także. Gospodarz chrząknął.

– A co stoi na przeszkodzie zaspokojeniu tęsknoty pańskiego klienta? Powiedział pan przecież, że ten trzeci obraz istnieje, prawda? Jeżeli nie ma go w swoim posiadaniu żadne wielkie muzeum, można go przecież kupić. W końcu wszystko ma swoją cenę, a powiedział pan, że pański klient jest bardzo bogatym człowiekiem. Czy nie wie, gdzie się obraz znajduje?

– Wie.

– I zwrócił się do pana, aby mu pan dopomógł w kupnie?

– Tak.

– Nie bardzo w takim razie rozumiem, gdzie się mieści tutaj moja skromna osoba. Kupować potrafi pan przecież nie gorzej niż ja. Nazwisko pana znane jest na każdej poważniejszej aukcji i każdemu poważniejszemu handlarzowi obrazów. Pański podpis wart jest milion dolarów, jeśli nie więcej.

– Ba! – Gość westchnął. – Z całą skromnością muszę przyznać, że przeprowadziłem z powodzeniem kilka poważnych, a nawet bardzo poważnych transakcji. Ale niestety...

Wyciągnął rękę i wziął trzecią fotografię, z której spoglądała nań rozmodlona twarz murzyńskiego króla. Oblicze czarnego monarchy rozjaśnione było tajemną światłością spływającą z górnego narożnika obrazu.

– Niestety, ten obraz jest nie do kupienia. Dlatego muszę kupić go od pana.

Położył fotografię na stoliku, zwrócił oczy ku Gruberowi i uśmiechnął się.

– Rozumiem. – Pan Gruber wziął fotografię i po raz pierwszy przyjrzał się jej z zainteresowaniem. – Ile chce pan zapłacić za ten obraz?

– Czy nie pragnie pan wiedzieć, gdzie on się znajduje i jakie trudności związane będą ze zdobyciem go?

– Najpierw pragnąłbym się dowiedzieć, jaka suma wchodzi w grę – powtórzył spokojnie gospodarz.

– Jeżeli mam być szczery, klient mój chce zapłacić za ten obraz dwieście tysięcy dolarów.

– Panu czy mnie?

– Mnie.

– To znaczy, że proponuje mi pan...?

WYDAWNICTWO BUKOWY ŁAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

KLASYKA KRYMINAŁU



Gdy stróże prawa i przestępcy wpadają na ten sam pomysł...

Międzynarodowa szajka złodziei dzieł sztuki planuje ukraść wyjątkowy obraz ze zbiorów muzeum w Borach. Kapitan Stefan Wieczorek i porucznik Katarzyna Rogalska wyruszają, by zabezpieczyć bezcenne dzieło. Sprawy jednak się komplikują – ginie kustosz muzeum.

MACIEJ SŁOMCZYŃSKI (JOE ALEX). Pisarz i tłumacz. Jako jedyny przetłumaczył wszystkie utwory Williama Shakespeare'a. Autor przekładów dzieł klasycznych, m.in. *Ulissesa* Jamesa Joyce'a. Twórca powieści sensacyjnych i kryminalnych, które doczekały się znakomitych ekranizacji z udziałem gwiazd polskiego kina.

Nr 21000265/D0

ISBN 978-83-8074-825-5



9 788380 748255



bukowylas.pl

Cena: 39,90 zł